THOMAS

HARRIS

Milczenie owiec

JEDEN Z NAJSŁYNNIEJSZYCH THRILLERÓW WSZECH CZASÓW

Rozdział 1

Sekcja behawioralna, zajmująca się w FBI morderstwami wielokrotnymi, mieści się na najniższej, do połowy ukrytej w ziemi kondygnacji Akademii FBI w Quantico. Clarice Starling dotarła tam zaczerwieniona od szybkiego marszu ze strzelnicy przy Hogan's Alley. Miała źdźbła trawy we włosach i utytłaną wiatrówkę — efekt czołgania się pod obstrzałem podczas ćwiczeń praktycznych z techniki unieszkodliwiania przestępców.

W sekretariacie nie było nikogo. Przejrzała się w szklanych drzwiach i szybko poprawiła włosy. Wiedziała, że wygląda dobrze, nie musi nic zmieniać. Ręce jej czuć było prochem strzelniczym, ale nie miała czasu ich umyć. Wezwanie do szefa działu Crawforda brzmiało: natychmiast.

Odnalazła Jacka Crawforda w zagraconej sali ogólnej.

Stał samotnie przy cudzym biurku i rozmawiał przez telefon. Miała sposobność przyjrzeć mu się po raz pierwszy od roku. To, co zobaczyła, zaniepokoiło ją.

Normalnie Crawford wyglądał na zdrowego inżyniera w średnim wieku, który przeszedł gładko przez college dzięki temu,

że dobrze grał w baseball — sprytny napastnik, twardy, kiedy trzeba blokować pole. Teraz wychudł, kołnierzyk koszuli był o wiele za luźny, pod zaczerwienionymi oczyma pojawiły się ciemne sińce. Dla każdego, kto czyta gazety, nie było tajemnicą, że sekcja behawioralna znalazła się w oku cyklonu. Clarice miała nadzieję, że Crawford niczym się nie szprycuje. W tej instytucji wydawało się to mało prawdopodobne.

Crawford uciął rozmowę telefoniczną krótkim: „nie". Wyjął spod pachy jej akta personalne i otworzył je na pierwszej stronie.

— Starling Clarice M., dzień dobry — powiedział.

— Dzień dobry. — To, że się uśmiechnęła, wynikało wyłącznie z uprzejmości.

— Nic złego się nie stało. Mam nadzieję, że wezwanie cię nie przestraszyło.

— Skądże znowu. — Niezupełnie prawda, dodała w myślach.

— Twoi instruktorzy twierdzą, że dobrze sobie radzisz, na twoim roku jesteś w grupie najlepszych.

— Mam taką nadzieję. Do tej pory nic mi o tym nie wspomnieli.

— Pytam ich od czasu do czasu.

To zdziwiło dziewczynę; dawno już spisała Crawforda na straty, uważając go za dwulicowego sukinsyna, kaprala, który interesuje się rekrutem dopóty, dopóki nie złapie go na haczyk.

Z federalnym agentem specjalnym Crawfordem zetknęła się po raz pierwszy, kiedy prowadził gościnne wykłady na Uniwersytecie Wirginia. Wysoki poziom jego seminarium z kryminologii był jednym z motywów jej decyzji przejścia do FBI. Kiedy dostała się do Akademii, napisała do niego kartkę, ale nie odpowiedział i podczas trzech miesięcy, które spędziła w Quantico, całkowicie ją ignorował.

Clarice Starling nie należała do ludzi, którzy narzucają się

ze swoją przyjaźnią i proszą o czyjąś łaskę, ale zachowanie Crawforda zdziwiło ją i trochę zabolało. Teraz, w jego obecności, z przykrością uświadomiła sobie, że znów czuje do niego sympatię.

Najwyraźniej coś było z nim nie w porządku. Crawford miał jakieś szczególne, niezależne od inteligencji umiejętności. Clarice dostrzegła to w sposobie, w jaki dobierał kolory i gatunek tkanin swoich ubrań, w tym, że umiał zaznaczyć swą indywidualność mimo obowiązujących w FBI kanonów. Teraz był schludny, ale bezbarwny, tak jakby wszedł w okres linienia.

— Jest robota i pomyślałem o tobie — powiedział. — Właściwie nie robota, raczej interesujące ćwiczenie praktyczne. Zabierz rzeczy Berry'ego z tego krzesła i usiądź. W swoim podaniu napisałaś, że po ukończeniu Akademii chcesz przejść bezpośrednio do sekcji behawioralnej.

— Tak.

— Masz dobre przygotowanie kryminologiczne, ale brak ci praktycznej znajomości prawa karnego. Szukamy ludzi z minimum sześcioletnim stażem.

— Mój ojciec był szeryfem. Znam życie.

Crawford lekko się uśmiechnął.

— Twoimi atutami są bardzo dobre oceny z psychologii i kryminologii... Ile wakacji przepracowałaś w ośrodku dla psychicznie chorych? Dwa kolejne lata?

— Tak.

— Czy masz ważną licencję doradcy prawnego?

— Jeszcze przez dwa lata. Dostałam ją, zanim rozpoczął pan swoje seminarium na Uniwersytecie Wirginia... Zanim zdecydowałam się tu przyjść.

— Utknęłaś w kolejce do egzaminów?

Kiwnęła głową.

— Ale miałam szczęście i zdążyłam się zakwalifikować na

kurs kryminalistyki. Dzięki temu popracowałam trochę w laboratorium, jeszcze zanim zaczął się semestr.

— Kiedy się tu dostałaś, napisałaś do mnie list, ale nie wydaje mi się, żebym odpowiedział, to znaczy, wiem, że nie odpowiedziałem. Powinienem był to zrobić.

— Ma pan tyle innych spraw na głowie.

— Słyszałaś coś o programie VI-CAP?

— Wiem, że to program badawczy, którego przedmiotem są przestępstwa popełnione z użyciem przemocy. W „Law Enforcement Bulletin" pisali, że pracuje pan nad stworzeniem banku danych, ale że nie jest jeszcze gotowy.

Crawford kiwnął głową.

— Sporządziliśmy kwestionariusz. Można go zastosować wobec wszystkich znanych w dzisiejszych czasach wielokrotnych morderców. — Wręczył jej gruby plik papierów w cienkiej okładce. — Tę część wypełnia prowadzący śledztwo, tę ofiary, jeśli ocalały. Kwestionariusz niebieski wypełnia, jeśli chce, morderca. Różowy zawiera pytania, które ma mu zadać prowadzący śledztwo, notując zarówno jego odpowiedzi, jak i reakcje. Mnóstwo papierkowej roboty.

Papierkowa robota. W głowie Clarice Starling zabrzmiał dzwonek alarmowy. Czuła, że za chwilę Crawford złoży jej ofertę pracy — polegającej prawdopodobnie na żmudnym wprowadzaniu danych do komputera. Kusiło ją, żeby dostać się do sekcji behawioralnej na jakiekolwiek wolne stanowisko, ale wiedziała, co czeka kobietę, którą choć raz zaprzęgnie się do pracy sekretarki — do końca życia nie przestanie stukać na maszynie. Zbliżała się chwila wyboru, a ona chciała wybrać dobrze.

Crawford czekał na coś; najwyraźniej zadał jej jakieś pytanie. Starling musiała pogrzebać w pamięci, żeby je sobie przypomnieć.

— Jakie testy stosowałaś? Minnesota Multiphasic? Rorschacha?

— Minnesota Multiphasic tak, Rorschacha nie — odparła. — Poza tym test apercepcji tematycznej, a z dziećmi Bender-Gestalt.

— Czy łatwo cię przestraszyć, Starling?

— Nie sądzę.

— Widzisz, staramy się przesłuchać i zbadać wszystkich trzydziestu dwóch wielokrotnych morderców, których trzymamy aktualnie pod kluczem. Pomoże to nam stworzyć bank danych, na podstawie którego będzie można sporządzać portrety psychologiczne przestępców w nierozwiązanych sprawach. Większość skazanych poszła nam na rękę. Sądzę, że wielu chce się po prostu popisać. Na współpracę zgodziło się dwudziestu siedmiu. W tym czterech przebywających w celach śmierci, pod warunkiem, co zrozumiałe, że załatwi się im wniosek o apelację. Nie jesteśmy jednak w stanie niczego uzyskać od człowieka, na którym najbardziej nam zależy. Chcę, żebyś odwiedziła go jutro w szpitalu dla psychicznie chorych.

Clarice poczuła, że szybciej bije jej serce. Była zadowolona, ale jednocześnie trochę się obawiała.

— Kim on jest?

— To psychiatra, doktor Hannibal Lecter — powiedział Crawford.

Wśród ludzi z branży po wymienieniu tego nazwiska zapada zawsze krótkie milczenie.

Starling wpatrywała się spokojnie w Crawforda, trochę tylko znieruchomiała.

— Hannibal-Kanibal? — upewniła się jeszcze.

— Tak.

— No cóż, w porządku. Cieszę się, że otwiera się przede mną szansa. Zastanawiam się tylko, dlaczego właśnie ja?

— Głównie dlatego, że jesteś akurat pod ręką — odparł Crawford. — Nie spodziewam się, żeby Lecter chciał z nami współpracować. Właściwie już odmówił, ale zrobił to przez pośrednika, dyrektora szpitala. Chcę z czystym sumieniem powiedzieć, że był tam nasz wykwalifikowany pracownik i osobiście go zapytał. To, że idziesz tam ty, jest czystym przypadkiem. W sekcji nie został po prostu nikt, komu mógłbym to zlecić.

— Jesteście zawaleni robotą. Buffalo Bill i ta afera w Nevadzie...

— Zgadłaś. Powtarza się stara historia: ciała dawno już wystygły.

— Powiedział pan: jutro. To znaczy, że sprawa jest pilna. Czy to ma związek z bieżącym dochodzeniem?

— Nie. Chciałbym, żeby tak było.

— Czy mam sporządzić diagnozę psychologiczną, jeśli stanie okoniem?

— Nie. Mam pełne biurko diagnoz psychologicznych na temat doktora Lectera. Wszystkie informują, że nie daje się zbadać, i w każdej zawarte są inne wnioski.

Crawford wytrząsnął na dłoń dwie tabletki witaminy C i wrzucił pastylkę Alka Selzer do szklanki z wodą, żeby je popić.

— To zabawne. Lecter jest psychiatrą i sam pisuje do czasopism psychiatrycznych... notabene niezwykłe artykuły... ale nigdy nie dotyczą one jego własnych małych anomalii. Kiedyś udał, że godzi się przystąpić do pewnych testów razem z dyrektorem szpitala Chiltonem... Polegało to na wspólnym przesiadywaniu ze wstrzymującą odpływ krwi obrączką na penisie, na oglądaniu zdjęć pornograficznych... A potem Lecter pierwszy opublikował wyniki swoich badań na temat Chiltona i zrobił z niego idiotę. Odpisuje na poważne listy, które wysyłają

do niego studenci psychiatrii, a które dotyczą dziedzin niezwiązanych z jego sprawą... i to wszystko. Jeśli odmówi, chcę otrzymać prosty raport: jak wygląda on sam, jak wygląda jego cela, co robi. Trochę lokalnego kolorytu, że tak się wyrażę. Wchodząc i wychodząc, uważaj na ludzi z prasy. Nie tej poważnej, ale ze szmatławców. Uwielbiają Lectera bardziej jeszcze niż księcia Andrzeja.

— Czy któraś z brukowych gazet nie zaproponowała mu przypadkiem pięćdziesięciu tysięcy za ujawnienie jakichś przepisów kulinarnych? Wydaje mi się, że coś na ten temat słyszałam.

Crawford kiwnął głową.

— Jestem całkiem pewien, że „National Tattler" opłaca kogoś w szpitalu i że kiedy umówię cię telefonicznie na spotkanie, natychmiast będą o tym wiedzieli. — Crawford pochylił się ku niej i popatrzył z bliska w oczy. W soczewkach dwuogniskowych okularów rozmazywały mu się worki pod oczyma. Musiał płukać sobie niedawno usta listerine'em. — Teraz chcę, żebyś wysłuchała mnie uważnie.

— Tak, proszę pana.

— Bądź bardzo ostrożna z Hannibalem Lecterem. Szef szpitala, doktor Chilton, zapozna cię z procedurą, której będziesz musiała przestrzegać. Nie naruszaj jej. Pod żadnym pozorem ani na jotę jej nie naruszaj. Jeżeli Lecter w ogóle będzie z tobą rozmawiał, to po to, żeby się czegoś o tobie dowiedzieć. To ten sam rodzaj ciekawości, która skłania węża do wpatrywania się w ptasie gniazdo. Wiemy oboje, że w czasie rozmowy trzeba się trochę odsłonić, ale nie zdradź mu żadnych szczegółów na swój temat. Nie powinien znać żadnych faktów z twego prywatnego życia. Wiesz chyba, co się przytrafiło Willowi Grahamowi?

— Czytałam o tym w swoim czasie.

— Kiedy Will go zdemaskował, Lecter wypruł z niego flaki nożem do linoleum. To cud, że Will przeżył. Pamiętasz Czerwonego Smoka? Lecter napuścił Francisa Dolarhyde'a na Willa i jego rodzinę. To przez Lectera twarz Willa wygląda teraz, jakby namalował ją cholerny Picasso. W szpitalu Lecter poharatał ciężko pielęgniarkę. Rób, co do ciebie należy, i ani na moment nie zapominaj, kim on jest.

— A kim on jest? Pan wie?

— Wiem, że jest potworem. Poza tym nikt nie może powiedzieć o nim nic pewnego. Może ty się dowiesz. Nie jesteś tu przez przypadek, Starling. Zadałaś mi kilka interesujących pytań, kiedy wykładałem na Uniwersytecie Wirginia. Dyrektor dostanie do ręki raport podpisany twoim własnym nazwiskiem, jeśli będzie klarowny, zwięzły i dobrze napisany. Ja o tym zadecyduję. Chcę mieć meldunek o godzinie dziewiątej zero zero w niedzielę. W porządku, Starling, postępuj zgodnie z procedurą.

Crawford uśmiechnął się do niej, ale oczy pozostały martwe.

Rozdział 2

Doktor Frederick Chilton, lat pięćdziesiąt osiem, dyrektor Stanowego Szpitala dla Psychicznie Chorych Przestępców w Baltimore, ma długie szerokie biurko, na którym nie widać ani jednego ostrego albo twardego przedmiotu. Część personelu nazywa je „fosą", część nie rozumie, dlaczego właśnie tak. Kiedy do gabinetu weszła Clarice Starling, doktor Chilton nie ruszył się z miejsca.

— Mieliśmy tutaj mnóstwo detektywów, ale nie przypominam sobie, żeby był wśród nich ktoś tak przystojny — powiedział, siedząc dalej za biurkiem.

Jego wyciągnięta ręka błyszczała od brylantyny, którą wklepywał przed chwilą we włosy. Clarice uprzytomniła to sobie, zanim zdążyła pomyśleć. Pierwsza puściła jego dłoń.

— Panna Sterling, nieprawdaż?

— Starling, doktorze, przez „a". Dziękuję, że zechciał pan poświęcić mi trochę czasu.

— Zatem i w FBI przerzucają się na dziewczęta, jak wszędzie, cha, cha. — Dorzucił do tego kwaśny uśmieszek, którym zwykł oddzielać zdania.

— Biuro idzie z duchem czasu, doktorze Chilton, nie da się ukryć.

— Czy zatrzyma się pani w Baltimore kilka dni? Można tu spędzić czas równie przyjemnie jak w Waszyngtonie czy Nowym Jorku, oczywiście, jeśli zna się miasto.

Spojrzała w bok, żeby oszczędzić sobie kolejnego uśmieszku, i od razu zorientowała się, że dostrzegł na jej twarzy niesmak.

— Jestem pewna, że to wielkie miasto, ale polecono mi zobaczyć się z doktorem Lecterem i zameldować się z powrotem jeszcze dzisiaj po południu.

— Czy jest pani uchwytna pod jakimś numerem w Waszyngtonie, gdybym chciał się z panią później skontaktować?

— Oczywiście. Miło, że pan o tym pomyślał. Nadzór nad tą sprawą prowadzi agent specjalny Jack Crawford i zawsze może pan się ze mną skontaktować przez niego.

— Rozumiem — powiedział Chilton. Jego upstrzone różowymi żyłkami policzki toczyły bój z niewiarygodnie czerwonobrązowym kolorem czupryny. — Poproszę o pani legitymację. — Przyglądał się uważnie plastikowej karcie, pozwalając, by dziewczyna stała. W końcu oddał ją z powrotem i wstał z krzesła. — To nie zabierze nam dużo czasu. Proszę za mną.

— Powiedziano mi, doktorze, że zapozna mnie pan z procedurą — odezwała się.

— Mogę to zrobić w drodze. — Okrążył biurko i spojrzał na zegarek. — Za pół godziny mam lunch.

Cholera, powinna była lepiej go rozgryźć, lepiej i szybciej. Facet nie musi być wcale kompletnym kretynem. Może wie coś, co mogłoby się jej przydać. Od jednego uśmiechu korona by jej z głowy nie spadła, nawet jeśli nie jest w tym najlepsza.

— Doktorze Chilton, rozmawiam z panem teraz. Spotkanie wyznaczono w porze dogodnej dla pana, by mógł mi pan poświęcić kilka chwil. Podczas przesłuchania mogą wyniknąć jakieś problemy; może będę musiała przejrzeć razem z panem niektóre jego odpowiedzi.

— Naprawdę bardzo w to wątpię. Aha, zanim wyjdziemy, muszę jeszcze gdzieś zatelefonować. Dołączę do pani w sekretariacie.

— Chciałabym zostawić tu płaszcz i parasolkę.

— Nie tutaj. Niech je pani da Alanowi w sekretariacie, schowa je do szafy.

Alan nosił podobny do piżamy strój przydzielany pacjentom. Wycierał właśnie popielniczki rąbkiem koszuli.

Biorąc płaszcz z rąk Starling, obracał językiem w ustach.

— Dziękuję — powiedziała.

— Witamy panią bardzo, bardzo serdecznie. Jak często robi pani kupę? — zapytał.

— Słucham?

— Czy wychodzi z pani taka dłu-u-u-uga?

— Powieszę to sobie gdzieś sama.

— Nic nie stoi na przeszkodzie. Może się pani pochylić i patrzeć, jak ona z pani wychodzi, zobaczyć, czy zmienia kolor, kiedy styka się z powietrzem. Robi to pani? Czy nie wygląda to tak, jakby miała pani duży brązowy ogon? — Nie chciał oddać jej płaszcza.

— Doktor Chilton wzywa cię do gabinetu, natychmiast — powiedziała.

— Nie, wcale cię nie wzywam — oznajmił Chilton. — Włóż płaszcz do szafy, Alan, i nie wyjmuj go, kiedy nas nie będzie. Zrób to. Miałem sekretarkę na pełnym etacie, ale zabrały mi ją cięcia budżetowe. Dziewczyna, która panią wpuściła, pisze tutaj na maszynie przez trzy godziny dziennie, a potem mam

do dyspozycji tylko Alana. Gdzie się podziały te wszystkie sekretarki, panno Starling? — Łypnął na nią okiem spod okularów. — Czy ma pani broń?

— Nie, nie mam.

— Czy mógłbym obejrzeć pani torebkę i teczkę?

— Widział pan moją legitymację.

— I napisano w niej, że jest pani studentką. Proszę mi pokazać swoje rzeczy.

. . .

Wzdrygnęła się mimowolnie, kiedy zatrzasnęły się za nią pierwsze stalowe wrota i zasunął rygiel. Chilton nieco ją wyprzedzał. W korytarzu pomalowanym na zielony, szpitalny kolor unosił się zapach lizolu. Gdzieś daleko trzasnęły drzwi. Clarice była zła na siebie, że pozwoliła Chiltonowi grzebać łapą w torebce i teczce. Zdusiła w sobie gniew, aby móc się skoncentrować. W porządku. Czuła, że znowu w pełni panuje nad sytuacją, cała złość spłynęła po niej jak woda.

— Z Lecterem mamy wyjątkowe kłopoty — mówił przez ramię Chilton. — Samo tylko usunięcie zszywek z czasopism, które mu przysyłają, zajmuje pielęgniarzowi co najmniej dziesięć minut dziennie. Staraliśmy się ograniczyć prenumerowane przez niego pisma, ale złożył skargę i sąd nakazał nam przywrócić wszystkie tytuły. Rozmiary jego osobistej korespondencji są olbrzymie. Na szczęście trochę się zmniejszyła od czasu, kiedy jego miejsce w mass mediach zajęli inni osobnicy. Był taki moment, że byle studencina piszący pracę magisterską z psychologii miał do niego bardzo ważny interes. Pisma medyczne wciąż go publikują, ale głównie z powodu wrażenia, jakie wywołuje na okładce jego nazwisko.

— Sądziłam, że jego artykuł na temat uzależnienia chirurgicznego w „Journal of Clinical Psychiatry” jest całkiem interesujący — odezwała się Starling.

— Naprawdę? Sądziła pani? Próbowaliśmy studiować Lectera. Oto wyłania się, myśleliśmy, szansa na dokonanie rzeczywiście przełomowego odkrycia. Tak rzadko spotyka się żywy egzemplarz.

— Żywy egzemplarz czego?

— Czystego socjopaty, bo tym właśnie jest, z całą pewnością. Ale nie sposób go przeniknąć. Jest zbyt skomplikowany, by można było zastosować wobec niego standardowe testy. A poza tym... jakże on nas nienawidzi. Wydaje mu się, że jestem jego nemezis. Crawford ma łeb na karku, prawda? Wiedział, kogo wysłać do Lectera.

— Co pan przez to rozumie, doktorze Chilton?

— Młodej kobiecie łatwiej uda się go, jak by to pani ujęła, „przekabacić”. Sądzę, że Lecter nie widział kobiety od dobrych paru lat... chyba że przypadkiem udało mu się zerknąć na którąś ze sprzątaczek. Normalnie nie trzymamy tutaj kobiet. W miejscach odosobnienia jest z nimi tylko kłopot.

No dobrze, odpieprz się, Chilton.

— Ukończyłam z wyróżnieniem Uniwersytet Wirginia, doktorze. To nie jest pensja dla panienek z dobrego domu.

— W takim razie nie powinna mieć pani trudności z zapamiętaniem regulaminu. Nie sięgać przez kraty ani ich nie dotykać. Nie podawać mu niczego oprócz miękkiego papieru. Żadnych długopisów, żadnych ołówków. Od jakiegoś czasu ma swoje własne flamastry. W dokumentach, które pani mu przekaże, nie może być żadnych spinaczy ani szpilek. Wszystko ma wrócić do pani na ruchomej tacy, na której dostarcza mu się pożywienie. Pod żadnym pozorem nie wolno niczego brać od niego przez kraty. Czy pani mnie rozumie?

— Rozumiem.

Mijali kolejne stalowe drzwi. Oświetlenie było sztuczne. Oddalili się od oddziałów, których pacjenci mogli się ze sobą kontaktować. Teraz znaleźli się na dole, w miejscu, gdzie nie było okien i zabronione były wszystkie kontakty. Lampy na korytarzu osłonięto grubymi kratami jak w maszynowni statku. Doktor Chilton przystanął pod którąś z nich. Kiedy przebrzmiało echo ich kroków, Clarice usłyszała gdzieś za ścianą ochrypły od ciągłego krzyku głos.

— Lecter nigdy nie opuszcza swojej celi bez krępującego go kaftana i knebla — wyjaśnił Chilton. — Chcę pani pokazać dlaczego. Przez pierwszy rok był wzorowym pacjentem. Złagodzono nieco środki bezpieczeństwa... zdecydowało o tym poprzednie kierownictwo, rozumie pani. Po południu ósmego lipca siedemdziesiątego szóstego roku zaczął uskarżać się na ból w piersiach i został zabrany do ambulatorium. Zdjęto mu kaftan, przystępując do EKG. Oto co zrobił pielęgniarce, kiedy się nad nim pochyliła. — Chilton wręczył Clarice fotografię z pozaginanymi rogami. — Lekarzom udało się ocalić jej jedno oko. Lecter cały czas był podłączony do monitorów. Złamał jej szczękę, żeby dostać się do języka. Nawet kiedy go połykał, puls ani na moment nie przekroczył osiemdziesięciu pięciu uderzeń na minutę.

Clarice nie wiedziała, co było gorsze: fotografia czy zachłanne, prędkie, przeszywające jej twarz spojrzenie Chiltona. Przypominał spragnionego kurczaka wydziobującego łzy z jej policzków.

— Trzymam go tutaj — powiedział Chilton i nacisnął przycisk tkwiący w ścianie obok ciężkich, podwójnych drzwi z pancernego szkła. Na oddział wprowadził ich wysoki pielęgniarz.

Clarice powzięła stanowczą decyzję i zatrzymała się w progu.

— Doktorze, naprawdę zależy nam na wynikach tego testu. Jeżeli doktor Lecter uważa pana za swojego wroga, ma na pana punkcie obsesję, jak sam pan to ujął, więcej szans powodzenia mamy w przypadku, jeśli spotkam się z nim sama. Co pan o tym myśli?

Policzek Chiltona drgnął.

— Jeśli chodzi o mnie, nie widzę żadnych przeszkód. Szkoda tylko, że nie powiedziała pani tego w moim gabinecie. Mogłem wysłać z panią pielęgniarza i nie tracić czasu.

— Powiedziałabym, gdyby zechciał pan tam ze mną rozmawiać.

— Nie sądzę, żebyśmy się jeszcze zobaczyli, panno Starling. Barney, zadzwoń na kogoś, żeby ją wyprowadził, kiedy skończy z Lecterem.

Chilton wyszedł, nie rzuciwszy na nią więcej okiem.

Pozostała z potężnym i nieruchawym pielęgniarzem, za nim widziała bezgłośny zegar i szafkę z drucianej siatki, w niej spray z gazem, pas z uchwytami, knebel i pistolet ze środkiem uspokajającym. Przy ścianie stał w stojaku długi pręt ze specjalnym zakończeniem w kształcie litery U do „przyszpilania" więźnia do ściany.

Pielęgniarz przyglądał się jej z uwagą.

— Czy doktor Chilton powiedział pani, żeby nie dotykać krat? — Głos miał jednocześnie wysoki i ochrypły.

— Tak — odrzekła.

— Świetnie. Jego cela jest na samym końcu, ostatnia z prawej. Idąc, niech pani trzyma się środka korytarza i nie zwraca na nic uwagi. Może pani zabrać dla niego pocztę, będzie w lepszym humorze. — Pielęgniarz robił wrażenie rozbawionego. — Trzeba ją tylko położyć na wózku i pchnąć do środka. Jeśli wózek jest w celi, może go pani przyciągnąć do siebie

sznurkiem. On też może go pani odesłać. Na zewnątrz, tam gdzie zatrzymuje się wózek, jest pani całkowicie bezpieczna.

Dał jej dwa czasopisma z rozsypującymi się po wyjęciu zszywek stronami, trzy gazety i dwa rozpieczętowane listy.

Korytarz miał około trzydziestu metrów, cele znajdowały się po obu stronach. Niektóre z nich były murowane, z wysokim i wąskim niczym otwór strzelniczy judaszem pośrodku drzwi. Inne wyglądały jak normalne cele więzienne, ściany miały z metalowych prętów. Clarice Starling zdawała sobie sprawę, że siedzą w nich więźniowie, starała się jednak nie rozglądać na boki. Miała za sobą już więcej niż połowę korytarza, gdy ktoś zasyczał: „Czuję twoją cipkę". Nie pokazała po sobie, że słyszy, i poszła dalej.

W ostatniej celi paliło się światło. Przeszła na lewą stronę korytarza, żeby móc wcześniej zajrzeć do środka. Wiedziała, że i tak zdradza ją stukanie obcasów.